

**TOVE
JANSSON**
**UCZCIWA
OSZUSTKA**

Przełożyła Halina Thylwe

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału szwedzkiego
Den ärliga bedragaren

Copyright © Tove Jansson 1982, Moomin Characters™
First published by Schildts Förlags Ab, Finland.
All rights reserved.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo
„Nasza Księgarnia”, Warszawa 2013

Projekt okładki *Anna Pol*

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book Cream 70 g/m² wol. 2,0.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24 c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl
www.wnk.com.pl

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Katarzyna Szroeder-Dowjat*
Korekta *Małgorzata Ruszkowska, Jolanta Sztuczyńska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-13225-3

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2018 r.
Druk: POZKAL, Inowrocław

Teresie Chłapowskiej
z atencją
H.T.

Ani jedna z postaci w tej książce
nie ma swojego pierwowzoru w rzeczywistości,
podobnie jak opisana wioska, która
nie istnieje na żadnej mapie.

Mai

1

Był zwykły ciemny zimowy ranek i wciąż padał śnieg. W wiosce w ani jednym oknie nie paliło się światło. Katri osłoniła lampę, żeby nie obudzić brata. W pokoju było bardzo chłodno. Zagotowała kawę i postawiła termos przy jego łóżku. Pod drzwiami leżał duży pies i patrzył na nią, z nosem między łapami; czekał, aż razem wyjdą.

Na wybrzeżu śnieg padał od miesiąca. Jak daleko sięgano pamięcią, nigdy nie było tyle śniegu; sypał nieprzerwanie, piętrzył się przy drzwiach i oknach, obciążał dachy, nie ustawał ani na godzinę. Ledwie oczyszczone drogi dla pieszych błyskawicznie się zaśnieżały. Mróz sparaliżował pracę w skutniach. Ludzie budzili się późno, bo nie było już poranków. W wiosce zalegała cisza i dziewiczy śnieg, dopóki rodzice nie wypuścili dzieci, któ-

re, pozostawione samopas, kopały tunele i grotty. I wrzeszczały. Zabroniono im rzucania śnieżkami w okno Katri Kling, ale nic sobie z tego nie robiły.

Katri mieszkała na poddaszu nad sklepem z bratem Matsem i dużym psem, który nie miał imienia. Dzień w dzień wyprowadzała go przed świtem, maszerowała gościńcem w stronę cypla z latarnią morską. Ludzie zaczęli się budzić, mówili, że jak padało, tak pada, a ona znowu idzie z psem i ma na sobie kołnierz z wilczego futra. To nienaturalne, żeby nie nadać imienia swojemu psu, wszystkie psy powinny mieć imiona.

I mówili o Katri Kling, że obchodzą ją tylko liczby i brat. I zastanawiali się, skąd u niej żółte oczy. Oczy Matsa były niebieskie jak oczy jego matki, nikt nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądał ojciec, nie pochodził z tych stron, dawno temu wyruszył na północ po zapas drewna i nigdy nie wrócił. Przywykli do tego, że wszyscy mają oczy mniej lub bardziej niebieskie, a u Katri były niemal tak żółte jak ślepiej jej psa. Patrząc, zwęzłała je w wąskie szparki, więc rzadko udawało im się dostrzec

ich nienaturalny kolor: żółty o lekkim odcieniu szarości. Wiecznie nieufna, w chwilach nagle rozbudzonej podejrzliwości obrzucała bliźnich spojrzeniem szeroko otwartych oczu, które niekiedy, w odpowiednim oświetleniu, były naprawdę żółte, co mogło ich przyprawić o silne uczucie niepewności. Odnosili wrażenie, że Katri Kling skupia się i polega wyłącznie na sobie i bracie, którego wychowywała i chroniła, odkąd skończył sześć lat. To trzymało wszystkich na dystans. I to, że nikt nigdy nie widział, żeby bezimienny pies kiedykolwiek merdał ogonem. I to, że ani ona, ani jej pies nie odwzajemniali niczyjej życzliwości.

Po śmierci matki Katri przejęła jej obowiązki ekspedientki w sklepie, poza tym prowadziła rachunki. Była bardzo bystra. W październiku złożyła wymówienie. Podobno sklepikarz najchętniej pozbyłby się Katri z poddasza, ale nie miał odwagi jej tego powiedzieć. Mats się nie liczył. Wysoki krzepki piętnastolatek, dziesięć lat młodszy od siostry, uchodził za prostaczka. Podejmował się dorywczych prac w wiosce, ale najwięcej czasu, jeśli

tylko pozwalala na to pogoda, spedzal w skutni braci Liljebergow. Liljebergowie zlecali mu rozmaite, niezbyt wazne zajecia.

W Västerby od dawna zaprzestano polowow, bo sie nie oplacalo. Byly tam trzy skutnie; do jednej slipowano lodzie na zime i wykonywano w niej przeglady. Najlepszymi skutnikami byli czterej niezonaci bracia Liljebergowie. Najstarszy, Edvard, robil projekty. Poza tym jezdzil furgonetka pocztowa do miasteczka, skad przy okazji odbieral towary do sklepu. Wlascicielem samochodu, jedynego w wiosce, byl sklepikarz.

Skutnicy z Västerby, dumni z natury, sygnowali swoje lodzie litera W, jakby ich wioska byla najstarsza zachodnia spolecznoscia w kraju*. Kobiety szydelkowaly kapy na lozka wedlug tradycyjnych, wyprobowanych wzorow i tez opatrywaly je litera W. W czerwcu zjezdzali letnicy, kupowali lodzie i kapy i dopoki bylo cieplo, spedzali w Västerby

* Västerby – Wieś Zachodnia, Wästerby – historyczna piosownia m.in. nazw miejscowosci (przyp. tłum.).

beztroskie wakacje. Pod koniec sierpnia znów zapadała cisza i wszystko wracało do normy. Potem nadchodziła zima.

Teraz był granatowy poranek, śnieg się roziskrzył, w kuchniach zapłonęło światło i na dwór wybiegły dzieci. O szybę uderzyły pierwsze śnieżki, ale Mats wciąż spokojnie spał.

Ja, Katri Kling, często rozmyślam nocami. Jak na taką późną porę, moje myśli są niezwykle rzeczowe. Przeważnie myślę o pieniądzach, wielkich pieniądzach, żeby szybko, sprytnie i uczciwie zdobyć tyle pieniędzy, żebym już nie musiała o nich więcej myśleć. Potem je zwrócę. Przede wszystkim Mats dostanie swoją łódź, dużą łódź żeglugową z kajutą i silnikiem stacjonarnym, najlepszą, jaką kiedykolwiek zbudowano w tej żałosnej wioszczyźnie. Co noc słyszę śnieg sypiący w okno, miękki szept śniegu, który wiatr przygania znad morza; to dobrze, chciałabym, żeby schowała się pod nim cała wioska, żeby zniknęła, żeby nareszcie było czysto... Nie ma nic równie spokojnego i bezkresnego jak długie zimowe ciemności, które trwają i trwają,

jakby się mieszkało w tunelu, gdzie czasami mrok gęstnieje i zapada noc, a czasami panuje szarówka. Jest się odgrodzonym od wszystkiego, osłoniętym i bardziej samotnym niż zwykle. Czeka się w ukryciu jak drzewo. Tutaj się mówi, że pieniądze śmierdzą, ale to nieprawda. Są czyste jak liczby. To ludzie śmierdzą. Każdy ma swój sekretny odorek, który się potęguje w chwilach gniewu, wstydu albo strachu. Pies to momentalnie wyczuwa, od razu wie. Gdybym była psem, wiedziałabym za dużo. Tylko Mats nie ma zapachu, Mats jest czysty jak śnieg. Mój pies jest duży, ładny i posłuszny. Nie lubi mnie. Darzymy się szacunkiem. Szanuję tajniki psiej natury, tajemniczość dużych psów, które zachowały coś ze swojej dzikości, ale im nie ufam. Jak ktokolwiek śmie ufać dużym czujnym spostrzegawczym psom i przypisywać im, jak to się mówi, niemal ludzkie cechy, mając na myśli te szlachetne i ujmujące?! Pies jest niemy i posłuszny, ale obserwuje nas, zna, wyczuwa naszą marność, powinniśmy być zdumieni, wzruszeni i oszołomieni, że nasze psy wciąż nam towarzyszą i nas słuchają. To

wręcz niewiarygodne. Może nami gardzą. Może nam wybaczą. Albo dogadza im, że za nic nie są odpowiedzialne. Nigdy się tego nie dowiemy. Może widzą w nas jakichś niewydarzonych, przerośniętych i niekształtnych powinowatych, takie wielkie niemrawe chrząszcze. Bo na pewno nie bogów. Psy przejrzały nas na wylot i posiadły druzgocącą świadomość, którą trzyma w ryzach ich tysiącletnie posłuszeństwo. Dlaczego nikt się nie boi swojego psa? Jak długo dzikie zwierzę będzie wypierać swoją dzikość? Ludzie idealizują zwierzęta, a jednocześnie z pobłażliwą wyrozumiałością traktują ich naturalne zachowania: iskanie się, zagrzebywanie zgniłych kości, tarzanie się w śmieciach, szczekanie przez całą noc na drzewo... Co sami robią? Czy zakopują coś w ustronnym miejscu, żeby zgniło, odkopują i znowu zakopują, hałasują pod drzewami i w czymś się tarzają...? Nie. Ja i mój pies gardzimy nimi. Chowamy się we własnym tajemnym życiu, ukrywamy w naszej najgłębszej dzikości...

Pies wstał, czekał przy drzwiach. Zeszli po schodach, przeszli przez sklep, w sieni Katri włożyła

botki. Cały czas nocne myśli nie dawały jej spokoju; znikąd pomocy. Kiedy przystanęła na mrozie i wdychała czyste zimowe powietrze, wyglądała jak wysoki czarny posąg z nieprzystępnym psem u boku. Nigdy nie miał smyczy. Dzieci zamilkły i brodząc w śniegu, odeszły, ale za pierwszym węglem znów się rozkrzyczały i zaczęły się bić. Katri minęła je i ruszyła w stronę latarni morskiej na cyplu. Choć Liljeberg woził tam butle gazowe, ślady opon były ledwo widoczne. Znad morza nadciągnął północno-zachodni wiatr. Jedna z bocznych dróg prowadziła pod górę do domu starszej pani Aemelin. Katri zatrzymała się, pies momentalnie znieruchomiał. Od nawietrznej oboje byli biali od śniegu, który powoli topniał na ich futrach. Katri patrzyła na dom. Nie po raz pierwszy. Przyglądała mu się od dawna, każdego ranka w drodze na cypel. Anna Aemelin mieszkała tam sama ze sobą i swoimi pieniędzmi. Przez całą długą zimę prawie nigdy nie wychodziła, wszystko, czego potrzebowała, przywożono jej ze sklepu, a raz w tygodniu sprzątała u niej pani Sundblom. Za to wcze-

sną wiosną można było dostrzec jej jasny płaszcz na skraju lasu, gdzie niespiesznie przechadzała się między drzewami. Rodzice Anny Aemelin żyli długo, w ich lesie nikt nigdy niczego nie ściął. Umarli bogaci jak krezusy. Las pozostał nietknięty. Z czasem rozrósł się w nieprzebyty gąszcz i stał niczym mur tuż za domem, nazywanym w wiosce króliczym. Szara drewniana willa z białymi rzeźbionymi ramami okiennymi na szaro-białym tle zaśnierzonych drzew rzeczywiście przypominała dużego przycupniętego królika: czworokątne zęby białych zasłon werandy, brwi ze śniegu nad głupawymi łukowymi oknami i czujne uszy kominów. Wszystkie okna ciemne. Zbocze nie było odśnieżone.

Tam mieszka. Mats i ja też tam zamieszkamy. Ale muszę poczekać. Muszę się dobrze zastanowić, zanim przyznam Annie Aemelin ważne miejsce w moim życiu.

2

Annę Aemelin chyba można było nazwać miłą, ponieważ nigdy nie okazywała złości i miała rzadką umiejętność zapominania o rzeczach przykrych; otrząsała się z nich i wracała do swoich utartych manier. Na dobrą sprawę jej kapryśna życzliwość przerażała, ale nikt nie miał szans tego zauważyć. Traktowani ze zdawkową uprzejmością, okazjonalni goście czuli się w króliczej willi jak w obiekcie zabytkowym. Anna nie przybierała postawy obronnej, nie można byłoby jej zarzucić, że jest bez twarzy; po prostu żyła naprawdę tylko wtedy, kiedy oddawała się swoim szczególnym talentom odtwórczym. Oczywiście, zawsze w samotności. Anna Aemelin posiadała niewątpliwie wybitną zdolność koncentrowania się wyłącznie na jednym: na runie leśnym. Potrafiła je odmalować z niebывałą wręcz precyzją,

nie pominęła żadnej, choćby najmniejszej igielki. Jej akwarelki, naturalistyczne w każdym calu, były równie piękne jak kępy sprężystego mchu i wiotkie roślinki, po których się chodzi w gęstym lesie, ale rzadko zauważa. Anna Aemelin otworzyła ludziom oczy: zobaczyli ideę lasu, ożywały wspomnienia, przez chwilę ogarniała ich ciepła tęsknota. Szkoda, że Anna zakłócała tę harmonię, domalowując króliki – tatę królika, mamę królicę i dziecko króliczątko – których kwieciste ubarwienie w dużym stopniu odzierało las z jego tajemnicy. Kiedyś zwierzątka doczekały się negatywnej recenzji. Anna poczuła się dotknięta i opadły ją wątpliwości, ale cóż mogła zrobić, taka była wola dzieci i wydawnictwa. Mniej więcej co dwa lata wychodziła nowa książeczka. Za tekst odpowiadał wydawca. Czasami Anna miała ochotę skupić się wyłącznie na runie, krzewinkach i korzeniach drzew w mniejszej skali, wnikać w serce mchu, żeby brązowo-zielony mikrokosmos stał się wielką dżunglą zaludnioną przez insekty. Króliki mogłaby zastąpić mrówczą rodziną, ale nie teraz, teraz było za późno. Anna

wymazała to z pamięci. Zimą, kiedy leżał śnieg, nie malowała, tylko odpowiadała na listy dzieci, które pytały, dlaczego króliki są w kwiatki.

Ale tego dnia, kiedy zaczyna się opowieść o Annie i Katri, Anna nie pisze listów; siedzi w salonie i czyta bardzo zabawną książkę *Przygody Jimmy'ego w Afryce*. W poprzednim tomie Jimmy był na Alasce.

Przestronne niskie pokoje są piękne w śnieżnej poświacie. W parkiecie froterowanym raz w tygodniu przez panią Sundblom przeglądają się białe i niebieskie piece kaflowe i jasne meble stojące pod ścianami. Tata Anny Aemelin, potężny mężczyzna, zawsze chciał mieć wokół siebie dużo miejsca i lubił niebieski kolor, który z upływem lat był coraz bledszy. Króliczy dom tchnął niezmaconą duchowością, nosił piętno czegoś ostatecznego.

W południe Anna odłożyła książkę i postanowiła zadzwonić do sklepu, czego nie znosiła. Numer był zajęty. Czekaając, aż będzie wolny, usiadła przy oknie wychodzącym na letnią werandę, gdzie

leżała duża zaspą, którą północno-zachodni wiatr ułożył w śmiały zawijas, figlarny i surowy zarazem. Wirujące nad spiczastym zwieńczeniem płatki śniegu przypominały delikatny, przezroczysty wachlarz. Każdej zimy zawijas był identyczny i zaspą nieodmiennie piękna, ale za duża i zanadto zwyczajna, żeby Anna mogła zwrócić na nią uwagę. Zadzwoiła ponownie, tym razem się udało. Czy Liljeberg wrócił? Zapomniała o maśle i grochówce, tej w małej puszcze. Sklepiarz jej nie usłyszał, powiedział, że droga ciągle nieodśnieżona, pocztowóz by się nie przebił, dlatego Liljeberg pojechał po pocztę na nartach i przy okazji przywiezie świeżą, krwistą wątrobę...

– Nie słyszę! – zawołała Anna Aemelin. – Krwistą chorobę? Czy coś się stało?

– Wątrobę – powtórzył sklepiarz. – Liljeberg przywiezie świeżą wątrobę, którą odłożę specjalnie dla pani, panno Aemelin, wspaniałą wątrobę...

Jego głos zanikł gdzieś w śnieżnej zamieci, pewnie znowu coś się popsulo na linii.

Anna z uczuciem ulgi wróciła do lektury, odcinając się od świata zewnętrznego. Właściwie grochówka mało ją obchodziła. Poczta też.

Edvard Liljeberg przyjechał z miasteczka, odpiął narty i cisnął plecak na schodki przed sklepem. Łamało go w krzyżu i nie miał nastroju do rozmowy. Wrzucił mokre od śniegu pakunki do kartonu i wniósł je do środka.

Sklepikarz stał za ladą, wciąż naburmuszony, że został bez ekspedientki.

– Długo ci zeszło.

Liljeberg bez słowa wycofał się do sieni i zabrał do sortowania poczty na stole.

Katri Kling zobaczyła przez okno, że wrócił, natychmiast zeszła na dół i zajrzała mu przez ramię, jak zwykle z papierosem w ustach.

– To listy do Aemelin – powiedziała, mrużąc oczy w chmurze dymu. Łatwo było je rozpoznać; najczęściej imię i nazwisko pisały bardzo małe dzieci, które przyozdabiały kopertę kwiatkami.

– Chcesz je od razu doręczyć?

– Nie ma pośpiechu – odparł Liljeberg. – Bycie listonoszem w naszej wiosce nie zawsze należy do przyjemności.

Mogłaby powiedzieć, że są trudne warunki narcyarskie albo że w ogóle nie widać drogi, albo kiedy ją wreszcie odśnieżą, cokolwiek, żeby okazać zainteresowanie lub przynajmniej udawać, że się je okazuje, ale nie ona, nie Katri Kling. Patrząc przez dym spod przymrużonych powiek, pochyliła się nad stołem; czarne włosy przesłoniły twarz. Żeby ochronić się przed zimnem, narzuciła na siebie koc, który przytrzymała zaciśniętymi dłońmi.

Wygląda jak czarownica, pomyślał Edvard Liljeberg.

– Mogę je zanieść do Aemelin.

– Raczej nie, pocztę roznosi listonosz. To coś w rodzaju zawodu zaufania publicznego.

Katri uniosła głowę i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami; w ostrym świetle sieni były naprawdę żółte.

– Zaufanie. Masz do mnie zaufanie? – Odczekała chwilę. – Mogę je zanieść do Aemelin – powtórzyła. – To dla mnie ważne.

– Chcesz mi pomóc?

– Wiesz, że nie. Robię to wyłącznie dla siebie. Masz do mnie zaufanie czy nie masz?

Potem Liljeberg pomyślał, że mogła podać inny, prosty powód, mogła powiedzieć, że i tak zamierza wyjść z psem.

Tak czy inaczej, trzeba przyznać, że Katri Kling była uczciwa.

Anna znów zadzwoniła.

– Teraz lepiej słyhać – obwieścił sklepikarz. – Mała puszka grochówki i masło. Liljeberg odebrał pocztę i przywiózł wątrobę, jest świeżutka, że tak powiem, prosto z brzucha! Odłożyłem ją specjalnie dla pani. Ale tym razem dostawcą nie będzie Liljeberg, tylko Kling, której akurat jest po drodze.

– Kto?

– Katri Kling, moja była ekspedientka. Od razu może przynieść wątrobę.

– Wątrobę...? – słabym głosem zaproponowała Anna. – Wygląda odrażająco i trudno ją przyrządzić... Ale skoro był pan tak miły i odłożył ją specjalnie dla mnie... Czy ta... Kling... czy ona wie, że ma wejść od kuchni?

Na linii znowu rozległy się piski. Jak zawsze o tej porze roku. Anna słuchała przez chwilę, po czym poszła do kuchni i nastawiła wodę na kawę.

Mats wrócił ze skutni, kiedy zaczęło się ściemniać. Zimą w Västerby mężczyźni budowali łodzie tylko podczas odwilży, żeby zaoszczędzić na opale, i kończyli pracę przed zmrokiem ze względu na zużycie prądu. Mats zawsze wychodził ostatni.

– O, jednak udało im się ciebie pozbyć – powiedział sklepikarz. – Gdyby ci pozwolili, pewnie siedziałbyś tam po ciemku i szlifował.

– Teraz robimy poszycie – wyjaśnił Mats. – Czy mogę dostać coca-colę na kreskę?

– Jasne, chwila moment! Szkoda, że twoja kochana siostra nie chce cię już obsługiwać, wielka szkoda, była taka zwinna. Aha, poszycie. No pro-

szę. Z poszyciem też sobie radzisz. Kto by pomyślał.

Mats pokiwał głową, nie słuchał, stał przy ladzie i sączył colę. W tym małym, przeładowanym pomieszczeniu sprawiał wrażenie rosnącego. Długie, zdecydowanie za długie włosy były kruczoczarne jak u siostry. Nietutejsze włosy. Chyba zapomniał, że nie jest sam. Kiedy Katri zeszła po schodach, odwrócił się i oboje ledwie dostrzegalnie skinęli głowami; taki ich znak wspólnoty. Pies położył się przy drzwiach i czekał.

– Słyszałem, że to ty masz zanieść pocztę do króliczej willi – odezwał się sklepikarz. – Tu są zakupy. Uważaj na wątrobę, żeby krew nie przeciekła.

– Ona nie lubi wątroby – powiedziała Katri. – Wiesz o tym. Jakiś czas temu oddała klopsiki z krwią pani Sundblom.

– Wątroba to nie klopsiki. Poza tym ją zamówiła. Tylko nie zapomnij, żeby wejść od kuchni. Pani Aemelin jest bardzo wyczulona na tym punkcie.

Rozmawiali cicho i wrogo, jak czujne zwierzęta gotowe do ataku.

Sklepikarzyna jest pamiętliwy, nie darował mi. Jego pożądanie było żałosne, a ja dałam mu to odczuć. Zachowałam się emocjonalnie. Zawsze kiedy jestem emocjonalna, wszystko się komplikuje. Muszę stąd odejść.

O wczesnym zmierzchu śnieg był intensywnie niebieski. Katri dała psu znak, żeby poczekał na rozdrożu, i ruszyła pod górę, z wiatrem. Nikt nie odgarnął śniegu.

Anna Aemelin otworzyła kuchenne drzwi.

– Jak to miło z pani strony, panno Kling...
W taką pogodę, naprawdę niepotrzebnie...

Kobieta, która przestąpiła próg jej domu, była wysoka, miała na sobie coś kosmatego i nie uśmiechnęła się na powitanie.

Zapach niepewności. Od dawna zalega tu cisza. Starsza pani wygląda tak jak myślałam, jak królik.

– Jak miło, że przyniosła pani pocztę... Naturalnie, jest dla mnie ważna, ale... – Anna umilkła, czekając na reakcję. – Zaparzyłam kawę, pije pani kawę, prawda?

– Nie – uprzejmie odparła Katri. – Nie piję kawy.

Anna była bardziej zdumiona niż urażona. Wszyscy piją kawę, kiedy się nią częstuje, to oczywiste, po prostu przez wzgląd na panią domu inaczej nie wypada.

– To może napije się pani herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Panno Kling – obcesowo rzuciła Anna – proszę postawić buty przy drzwiach, dywany nie tolerują wody.

Teraz mi się podoba. Niech stawia opór, a ja będę go przełamywać, amen.

Weszły do salonu.

Powinnam mieć jedną z jej książek. Nie, wcale nie, to nie byłoby uczciwe.

– Czasami – rozpoczęła konwersację Anna Aemelin – czasami się zastanawiam, czy nie by-

łoby przyjemniej, gdybym położyła w salonie wykładzinę. Jasną i puszystą. Co pani o tym sądzi, panno Kling?

– Szkoda takiej pięknej podłogi.

Oczywiście, chce mieć coś kosmatego. Z wykładziną czy bez, jest tutaj dostatecznie kosmato. Kosmato, włochato i gorąco. Może na piętrze jest więcej powietrza. Będziemy musieli na noc uchylać okno, bo inaczej Mats nie zaśnie.

Anna Aemelin podniosła okulary zawieszona na cienkim łańcuszku na szyi, chuchnęła na szkła i zaczęła je czyścić rąbkiem obrusa. Przypuszczalnie były oblepione włosami.

– Czy kiedykolwiek miała pani króliki, panno Aemelin?

– Słucham?

– Czy miała pani króliki?

– Nie, dlaczego...? Liljebergowie hodują króliki, podobno są uciążliwe... – Anna odpowiedziała automatycznie, w charakterystyczny dla niej sposób, niepewnie i nie stawiając kropki, po czym wskazała na dzbanek kawy i przypomniała sobie, że ten

gość nie pije kawy. – Dlaczego, panno Kling, miałabym hodować króliki? – spytała z nagłą ostrością w głosie. – Czy pani ma króliki?

– Nie. Mam psa. Owczarka niemieckiego.

– Psa? – Anna była rozkojarzona. – Z psami nigdy nic nie wiadomo...

Rozpraszał ją nietknięty stolik kawowy. Wstała, napomknęła, że przyda się więcej światła, bo znowu się ściemnia, pozapalała kolejno wszystkie lampy, które rzucały teraz ciepły blask spod abażurów, i zaproponowała, że da Katri swój autograf. Miała ładny charakter pisma. Napisała imię i nazwisko i odruchowo zabrała się do rysowania królika, jak zwykle zaczynając od uszu, ale szybko przerwała i sięgnęła po czystą kartkę. Katri wyszła do kuchni. Poczte położyła na stole, żywność na blacie. Z pakunku z wątrową sączył się różowawy sok.

– Ohyda – powiedziała Anna za jej plecami. – Czy to... krew...? Nie znoszę widoku krwi...

– Proszę nie patrzeć, już zabieram.

Ale Anna rozwinęła pakunek i jej oczom ukazała się brunatnoczerwona wątroba, nabrzmiała od krwi, z siatką białych żyłek. Zbladła.

– Dam ją psu, panno Aemelin. Wezmę ją. Pójdę już.

Anna pospieszyła z wyjaśnieniem. Zawsze bardzo się bała, że z czasem różne wiktuały zaczną czymś trącić, że najpierw gdzieś się je odkłada i o nich zapomina, a potem wydzielają ten swój zapach i ogarnia człowieka lęk, że się popsują i trzeba je będzie wyrzucić... A przecież skoro świat jest taki, jaki jest, jedzenia nie wolno wyrzucać...

– Rozumiem – powiedziała Katri. – Coś się przechowuje i to coś zaczyna brzydko pachnieć. Dlaczego pani z tego nie zrezygnuje? Jeśli pani nie lubi podrobów, niech pani powie, że ich nie lubi. Dlaczego zamawia pani wątrobę?

– Ja jej nie zamawiam! To sklepikarz był tak miły, że ją dla mnie odłożył...

– Sklepikarz – wycodziła Katri. – Proszę sobie zapamiętać, że sklepikarz wcale nie jest miły. To zły człowiek. On wie, że wątroba panią brzydzi.

*

Na tylnym podwórzu Katri zapaliła papierosa. Mrok gęstniał.

Anna Aemelin patrzyła z okna werandy na swojego gościa schodzącego po zboczach. Wysoka czarna postać. Na dole, na gościńcu, były już dwie sylwetki, jakby z ciemności wyłonił się wilk i przyłączył do kobiety. Tuż obok siebie wracali do wioski. Anna stała przy oknie z uczuciem nieokreślonego niepokoju. Może dobrze by jej zrobiła filiżanka kawy...? Nie, raptem odeszła jej ochota. Uświadomiła sobie, że nie lubi kawy, że nigdy nie lubiła kawy.